

PRZEKŁAD

LUCE IRIGARAY

NIEWYKLUCZONE, ŻE PIELEGNOWANIE DOTYKU WCIAŻ MOŻE NAS OCALIĆ¹

Wkraczając w przestrzeń innego, jesteśmy, ogólnie rzecz biorąc, podporządkowani regułom świata, do którego musimy się dostosować, a który z założenia jest neutralny w stosunku do każdej i do każdego z nas. W tym świecie komunikowanie się z innym wymaga neutralizacji jednostkowej egzystencji i przybrania sztucznej i obojętnej postawy, co z kolei odcina nas od naszych zasobów energii. Nadal nie wykształciliśmy naszej naturalnej energii tak, by umożliwiała komunikację opartą na wzajemnym poszanowaniu różnic(y). Energia ta nie jest przez nas pielęgnowana, lecz nieustannie wypierana. Pozostaje ona w pierwotnym stanie, w którym istnieją jedynie stopnie nasilenia, jakie z czasem muszą być uwalniane poprzez rozmaite akty instynktownej dominacji czy chęci podporządkowywania, chyba że zostanie ona przetransformowana w energię neutralną, która nie przestaje wzrastać i dlatego domaga się zredukowania.

DIONIZOS I APOLLO: DWIE NIEDOTYKOWE OSOBOWOŚCI

Rzecz w tym, że nasza energia witalna nie jest pielęgnowana jako energia naturalna służąca osobowemu rozwojowi i koegzystencji z in-

¹ Pierwotna wersja niniejszego tekstu została napisana z okazji prezentacji Live Satellite i wygłoszona w czasie konferencji zatytułowanej „Eros”, która odbyła się w Uniwersytecie Laurentyńskim w Ontario w Kanadzie 22 maja 2010 roku. Tekst zatytułowany *Perhaps Cultivating Touch Can Still Save Us* został opublikowany po raz pierwszy w czasopiśmie „SubStance” 40, 2011, nr 3, s. 130–140, a przedrukowany w poseminaryjnej książce *Building a New World. Luce Irigaray: Teaching II*, red. L. Irigaray, M. Marder, Palgrave Macmillan, New York 2015.

nymi. Podtrzymujemy stan sztucznej indywidualizacji wspieranej przez reguły, które są nieodpowiednie dla właściwej nam natury i które nie przyczyniają się do jej transformacji. Ograniczyliśmy się do neutralnych standardów, które zdominowały nasze tożsamości relacyjne, dzieląc nas w naszych relacjach z innym(i) na dwie części: na dziką i instynktowną oraz na formalną i nienaturalną.

Sytuacja ta jest efektem braku pielęgnowania pierwotnej więzi z matką na poziomie zarówno indywidualnym, jak i kulturowym. W naszej tradycji matka została zredukowana do naturalnego źródła, które powinniśmy zdominować i opanować za pomocą kultury. Nie rozważyliśmy kwestii związanych ze źródłem naszego pochodzenia: jesteśmy owocem miłosego zjednoczenia kobiety i mężczyzny, owocem pożądania, który pojawił się na świecie dzięki dziewięciomiesięcznej gościnności kobiety i jej ciała. Cały kontekst relacyjności człowieka został sprowadzony do jedności rodzinnej, w ramach której przetrwał on jedynie w formie podziału rodzicielskich obowiązków: rola opieki przypisana została z natury kobiecie, a ustanawianie zasad zostało przydzielone mężczyźnie-ojcu. Najwyraźniej była to wyłącznie kwestia przydzielania zadań, a nie wyznaczania seksualnych – czy raczej płciowych – ról. Rodzina jako taka nie jest układem, w którym seksualność, prócz reprodukcji, odgrywałaby znaczącą rolę. Co więcej, nawet jej funkcja reprodukcyjna nie jest oczywista. Dlatego też młodzi ludzie dorastają bez świadomości tego, jak inaczej (on lub ona) mogliby spożytkowywać swoją energię, a zwłaszcza energię seksualną, niż przez podporządkowywanie jej oderwanej od rzeczywistości edukacji i regułom społecznym.

Jednakże energia człowieka nie może być spożytkowywana tylko i wyłącznie na potrzeby rozwoju, jak ma to miejsce, a przynajmniej powinno mieć, w świecie roślin. Jest to nade wszystko energia relacyjna, której należy się uczyć i którą należy kształtować we właściwy nam, ludzki sposób. Wciąż brak w naszej kulturze stosownej edukacji. Większość z nas pozostaje rozdarta między niewykształconą energią odnoszącą się do naszej naturalnej przynależności a narzuconym formalnym i skodyfikowanym sposobem zachowania, który nie współgra z naszą naturą. Można powiedzieć, że jesteśmy rozdarci między postawą Dionizosa i Apolla, czyli między bóstwem, które pozostaje wierne swojej naturalnej energii, ale nie jest w stanie jej ucieleśnić, i dlatego krąży między energetycznym brakiem a nadmiarem, a bóstwem, które skłania się ku pięknej aparycji i idealnym kształtom, przedkładając je nad vitalność swojej energii. Ani jeden, ani drugi bóg nie rozwiązał

energetycznego problemu, który powstał na skutek braku pielęgnowania relacji z matką.

Nieukształtowana energia relacyjna wiedzie Dionizosa do regresywnego i prymitywnego wtopienia się w naturalną jednię, do ekstazy komunii z całym światem natury, która w jakiś sposób zastępuje pierwotne współbytovanie ze światem matczynym. Dionizos nie osiągnął pełni ucieleśnienia, dlatego lawiruje między życiem, które cechują wzloty i upadki i które nie rozkwita w żadne formy, a ciągłym ruchem, dzięki któremu odnajduje chwilowe stany zawieszenia w ekstazy jedności z naturą. Brak mu ludzkich cech i kiedy pojawia się na ziemi pośród ludzi, towarzyszą mu albo mamki mleczne, albo niańki, których zarazem potrzebuje i które unicestwia po to, by móc celebrować swoją autonomię. Dionizos nie osiągnął ani stanu męskości, ani ucieleśnionego człowieczeństwa. Czasem przybiera postać zwierzęcia czy rośliny, a czasem nakłada maskę. Nie ma twarzy ani wieku. Pojawia się i znika, przybiera rozmaite formy, umiera i znów wraca do życia. Ujawnia się gdzieś, gdzie po chwili go nie ma, jest obecny i nieobecny, zawsze na granicy życia i śmierci, rozdarty między wieloma istotami i bytami. Trwa między jednością naturalnego świata, w którego ekstazy jedni pragnie się rozpląnąć, a wielością kolejnych postaci i wcieleń: nigdy nie pozostaje sam z sobą, nigdy nie jest sobą.

Apollo jest całkowitym przeciwieństwem Dionizosa. Zastyga w jednej tylko pozie i nigdy nie wprawia samego siebie w ruch. Podczas gdy Dionizos cierpi na brak własnej skóry, Apollo jest niemalże wyłącznie skórzaną powłoką. O ile Dionizos nie zna ograniczeń, o tyle Apollo jest ich ucieleśnieniem. Kiedy Dionizos jest w ciągłym ruchu i nie zaznaje spoczynku, Apollo pozostaje nieporuszony w hieratycznej pozie. Podczas gdy Dionizosowi – który jest płynny i sam się upłynnia, szukając schronienia w głębi oceanów lub, przynajmniej, w wilgotnym otoczeniu – bliżej do płynności, Apollo jest wyrzeźbionym ciałem stałym, które pozostaje widzialne i sprowadzone do trwałego, namacalnego kształtu. I wreszcie, o ile Dionizosowi brak ludzkiej, a zwłaszcza męskiej osobowości, o tyle Apollo jest ucieleśnieniem męskiego ideału, który mimo wszystko wciąż sprowadza się wyłącznie do wizji czy marzenia. Ta osobowość jest antycypowana przez spojrzenie jako figura senna. To, co było energią kinetyczną Dionizosa, jest unieruchomione przez marzenie o idealnym pięknie. Ekstaza Dionizosa wynika z wtopienia się w jednię natury, natomiast w przypadku Apolla wynika ona z jego odseparowania się od natury dzięki idealnym, męskim kształtom, które

utrwalają postawę całego ciała. Figura Dionizosa jest równoznaczna z energią seksualną, której brak cielesnych ograniczeń; figura Apolla, z kolei, jest ekwiwalentem idealnego ciała, które zużyło swoją energię, a zwłaszcza energię seksualną, w procesie męskiej indywidualizacji. Pragnienie Dionizosa pozostaje uwikłane w relację z matką czy ze światem matczynym utożsamionym z przestrzenią natury, którą pragnie współdzielić i w którą chce się wtopić. Pragnieniem Apolla, przynajmniej na poziomie marzeń sennych, jest odseparowanie od świata matczynego za pomocą idealnej, trwałej rzeźby przypominającej cielesny kształt.

Można powiedzieć, że dionizyjskość koresponduje z materią pozbawioną odpowiedniej formy, natomiast apollińskość z formą pozbawioną odpowiedniej materii. Co więcej, sztuką Dionizosa jest muzyka, a sztuką Apolla rzeźbiarstwo. Dlatego też ulubionym zmysłem pierwszego boga jest słuch, a drugiego wzrok. Dionizos niemalże zawsze jest ludzkim zarodkiem, który przychodzi na świat i pozostaje rozdarty między dwoma stanami: płodowym a noworodkowym, jest rodzajem czystego życia wciąż poszukującego cielesnego kształtu, swoistym głupcem, który nie wie, jak się wcielić, jaką przybrać formę. Z drugiej strony Apollo będzie czystą formą pozbawioną życiodajnych soków, odciętą od życia nieruchomą postacią, której absolutna doskonałość jest jedyną rzeczą przypominającą coś żywego. Wydaje się niewzruszony, jak gdyby próbował przezwyciężyć jakikolwiek popęd, jakiegokolwiek pragnienie, prócz tego jednego, którym jest trwanie w idealnym kształcie. Jeden z tych bogów wciąż nie narodził się jako człowiek, podczas gdy drugi od dawna jest już martwy. Obaj są bóstwami, które przypominają nieco człowieka, bóstwami, które w pewnym sensie nie ustają w dążeniu do osiągnięcia ludzkiego ucieleśnienia.

DOŚWIADCZANIE WŁASNEJ SKÓRY DZIĘKI PŁCIOWEJ INDYWIDUALIZACJI

Można zaryzykować tezę, że jesteśmy podzieleni na dwie części: tę, która jest bardziej dionizyjska, i na tę bardziej apollińską, dwie części, które są przeciwstawne i które się uzupełniają. I to częściowo tłumaczy pożądanie, jakie odczuwamy względem siebie. Jednakże pożądanie to jeszcze nie odpowiada naszej naturalnej przynależności, lecz wskazuje na wysiłki męczyzny, który pragnie wyłonić się ze stanu niezróżnico-

wania bez konieczności odnoszenia się do świata matczynego. Wysiłki te kończą się fiaskiem, ponieważ mężczyzna nie bierze pod uwagę, że matka jest kobietą. Jego celem jest zdominowanie natury, a nie pielęgnowanie naturalnej przynależności właściwej człowiekowi. To ostatnie nie ziści się dopóty, dopóki nie rozpoznamy różnicy płciowej między dwoma bytami, które składają się na gatunek ludzki, i dopóki nie uświadomimy sobie, że człowiek jest ukształtowany przez dwie różne tożsamości płciowe, które muszą się nauczyć, jak wchodzić ze sobą w relacje i jednocześnie respektować wzajemną niepowtarzalność.

Dionizos i Apollo przypominają nam o tym etapie naszego stawania się, w którym relacja z innym, a konkretnie z pierwszym innym, będzie bezpłciowa. A ten bezpłciowy stan i status nie stanowi rozwiązania umożliwiającego przezwycięzenie relacji ze światem matczynym opartej na fuzji czy niewyodrębnieniu, lecz oferuje jedynie osiągnięcie neutralnej indywidualizacji niepozwalającej na ukształtowanie energii relacyjnej. Skutkuje to nieustanną cyrkulacją między płynnością a trwałością, dzieląc życie na niekontrolowany przepływ, który nas upłynnia, i na zamknięcie w idealnej formie, uniemożliwiające nam wymianę z innym i pozwalające jedynie na ciągłą kontemplację perfekcyjnych kształtów owej formy.

Nasza tradycja została ustanowiona paralelnie do świata istot żywych. Świat kultury jest organizowany jako zamknięta całość odcięta od żyjącej materii. Przepływ życia, jego rozrost i nieustanna zmienność, będące dążeniem do rozwoju czy cykliczności, zostały poddane kontroli za pomocą logiki reprezentacji, która ustanawia sztuczną i niezmienną rzeczywistość, odseparowaną od teraźniejszości i ucieleśnionej obecności. Nasza kultura zastąpiła żywe byty organizacją i strukturą nazw, obrazów i reprezentacji, które są substytutami rzeczywistej egzystencji, zamiast koegzystować wśród nich i pielęgnować życie. W tym martwym świecie życie jest imitowane poprzez ruch przeciwnieństw i konfliktów, które działają również jako regulatory energii. Jednakże energia ta jest hamowana przez zamknięty świat, w którym może jedynie wzrastać i maleć, nie rozkwitając w formy właściwe istotom żywym. Energia życia jako taka nie została jeszcze wyregulowana przez naszą kulturę: pozostaje u podnóża naszego tak zwanego ziemskiego świata lub jest zarezerwowana na czas naszego pozaziemskiego pobytu. Tu i teraz podporządkowujemy ją sztucznym wytworom, które nie przekształcają jej naturalnych źródeł, lecz jedynie ją rujnują, i tym samym nie rozwiązujemy kwestii związanych z jej funkcjonowaniem

w obrębie relacji międzyludzkich ani tym bardziej nie dostrzegamy jej relacyjnego przeznaczenia.

Bez wątpienia energia jest potrzebna każdemu, kto przychodzi na świat, po to, by móc zyskać witalną autonomię, by móc wzrastać, pracować, tworzyć itd. Jednakże energia nie jest niezróżnicowana. A skoro posiada indywidualne właściwości, to jest też np. upłciowiona. I ta energia musi stać się decyzyjnym elementem naszego człowieczeństwa. Możliwe, że kształtowanie instynktów seksualnych tak, by działały w sposób bardziej ludzki, sprawi, że będziemy w stanie osiągnąć naszą człowieczą indywidualizację. Pierwszym krokiem byłoby porzucenie świata, który funkcjonuje zgodnie z zasadami wytyczonymi przez pary przeciwieństw, i odkrycie, że nasza tożsamość płciowa ani nie stoi w opozycji do drugiej płci, ani nie jest jej uzupełnieniem. Nasza tożsamość płciowa jest zakorzeniona w naturze w sposób autonomiczny i tylko przez podporządkowanie jej kulturze stała się przeciwieństwem należącym do zamkniętego świata, którego podstawą było wyparcie energii seksualnej. Musimy odzyskać tę wciąż żywą energię relacyjną i pielęgnować ją we właściwy nam, ludziom, sposób. W pierwszej kolejności należałoby wziąć pod uwagę dwoistość obu płci, która staje się kluczowym miejscem, gdzie energia ta może być rozwijana. Nie jesteśmy ani zwierzętami, działającymi wedle swoich instynktów głównie po to, by zapewnić przedłużenie własnego gatunku, ani też aniołami, które jawią się jako bezpłciowe i neutralne wobec swojej przynależności płciowej. Jesteśmy ludźmi, dla których przynależność płciowa stanowi istotny wymiar nie tylko w związku z reprodukcją, ale nade wszystko dlatego, że pełni kluczową rolę w konstytuowaniu się naszych tożsamości i naszych relacji ze sobą, ze światem i z innym(i). Jeśli tylko weźmiemy pod uwagę naszą przynależność płciową i to, jak określa ona nasze jestestwo, to osiągniemy człowieczą indywidualizację i nawiążemy relacje z innym(i) w sposób właściwy nam, ludziom. Oznacza to wzięcie odpowiedzialności związanej z poszanowaniem naszego stawania się, naszego wzrastania, naszego ukazywania się światu i innym. Nie jesteśmy już nieodróżnialnymi żyjącymi bytami, których indywidualizacja zależy od ich matek; jesteśmy upłciowionymi indywidualnościami, które muszą troszczyć się o swoją specyficzną, naturalną przynależność i ją pielęgnować.

Wymaga to od nas spożytkowywania energii nie w celu powrotu do niezróżnicowanej jedni z naturą, która jawi się jako substytut matki, lecz w celu stawania się sobą i wchodzenia w relacje ze światem i z innymi

przy zachowaniu pełnej wierności sobie i temu, kim jesteśmy. W istocie nasze „ja” ma wymiar relacyjny, który musimy rozwijać i ucieleśniać w odpowiedni sposób. Dlatego też powinniśmy przewycięzać w sobie i w relacjach z innymi to ciągle błędzenie między postawą dionizyjską a apollińską, uznając i kształtując właściwą nam cielesność i szanując cielesność innej/innego. Zamiast marnować naszą energię na próby uwolnienia się od tego stanu lub dokonywać regresu do ekstatycznej jedni z uniwersum natury, musimy wykorzystywać ją do wzrostu i rozkwitu naszej płciowej tożsamości. I zamiast zamrażać pokłady naszej energii w idealnym wyglądzie, powinniśmy modulować nasz sposób ukazywania się stosownie do relacji z innymi i względem innych nie tylko przez dobieranie odświętnych strojów i nakładanie rozmaitych masek, ale też przez nasze sposoby rozkwitania i poprzez naszą cielesność. Wiąże się to z dochowywaniem wierności uprzednio danej nam tożsamości i pielęgnowaniem jej bez konieczności wykraczania poza jej granice czy przybierania rozmaitych sztucznych form, wyglądów i masek, które nie korespondują z naszą osobowością.

Rzecz w tym, by stawać się sobą najlepiej, jak to tylko możliwe, aby spożytkowana przez nas energia mogła służyć naszemu ciału i jednocześnie respektować jego granice. A to oznacza, że nie marnujemy naszej energii i że nie przekraczamy granic miejsca i przestrzeni, których inna/inny potrzebuje dla swojego ucieleśnienia. Energia seksualna jest energią, która przyciąga nas w stronę innej/innego, co nazbyt często wiąże się z uczuciem rozczarowania i z utratą siebie z powodu braku seksualnej edukacji. Ta ostatnia zwykle ogranicza się do wiedzy na temat narządów płciowych, zwłaszcza części związanych z reprodukcją. I ma niewiele wspólnego z ludzkim sposobem dzielenia pożądania. Reprodukacja jako taka nie jest przywilejem ludzi, ale wzajemne pożądanie w pewnym sensie mogłoby być tym, co odróżnia człowieka od roślin i królestwa zwierząt, a czego nigdy nie udało się osiągnąć Dionizosowi.

UZNIANIE WŁASNEJ RÓŻNICY OZNACZA ZGODĘ NA TRAGICZNĄ SAMOTNOŚĆ

Współdzielenie energii seksualnej we właściwy ludziom sposób nie powinno być wykorzystywane do celów innych niż wzajemne pożądanie i miłość, jaka rodzi się między osobami. Chodzi więc o to, by unikać podporządkowania się instynktom reprodukcyjnym i dominacji wszyst-

kich ich form, ale też by uchylać się przed poświęcaniem naszej energii dla ekstatycznej fuzji ze światem natury lub z jakimś substytutem matczynego świata, by nie wspierać żadnych abstrakcyjnych uniwersaliów narzucanych nam przez siły instytucjonalne czy moralistyczne, a zwłaszcza religijne nakazy czy przykazania. Raczej należy utrzymywać energię w sobie i pielęgnować ją w celu dzielenia się, oczywiście nie w nagły i nieprzemyślany sposób, z tą/tym, która/który w nas tę energię rozbudziła/rozbudził. W tym sensie nie jesteśmy jeszcze przygotowani do dzielenia energii między sobą. Owa energia musi być kształtowana tak, byśmy mogli do tego etapu dojrzeć. Musimy uświadomić sobie, że energia ta służy naszym relacjom z innym(i); że wymaga poszanowania dwoistości każdej osoby i jej różnic. W większości przypadków pożądanie rodzi się z konfrontacji różnic, ale zwykle zostają one przez nas unicestwione przez zawłaszczanie tej energii i redukowanie różnic do tego samego. Zachowanie dwoistości danej osoby i jej różnic(y) jest jednym z niezbędnych warunków odzyskania i współdzielenia energii zrodzonej z pożądania.

Przezwyciężenie dualizmu, który ucieleśniają Dionizos i Apollo, w pierwszej kolejności wymaga od nas powrotu do rzeczywistej dwoistości płci. Pary przeciwieństw, które charakteryzują zachodnią logikę, są efektem wyeliminowania dwoistości naszych cielesnych różnic i witalnej energii, której źródłem są dwie płcie. Energia będąca efektem ścierania się wartości przeciwstawnych musi być uwalniana po to, by możliwe było ocalenie życia samego w sobie, podczas gdy energia, jaka rodzi się w wyniku zetknięcia dwóch różnych płci, powinna być zachowana dla utrzymania i rozwijania życia, szczególnie przez dostarczenie jej podstawowego, żywego ucieleśnienia, które wymaga poszanowania różnicy między płciami. Wówczas naturalne istnienie kształtuje samo siebie i osiąga podstawową indywidualizację, którą możemy ulepszać bez wyrzekania się jej i bez konieczności powrotu do etapu charakteryzującego się naprzemienną utratą formy i utratą życia, jak dzieła się to w przypadku Dionizosa i Apolla. Co więcej, pożądanie pobudza energię i w ten sposób wnosi do naszej egzystencji dodatkowe źródło energii, energię życia.

Pożądanie pomaga nam wzrastać i rozkwitać, ale też wymusza na nas, a przynajmniej powinno wymuszać, dbałość o wygląd zewnętrzny. Działa ono nie tylko z korzyścią dla naszego piękna, ale też zachęca nas do dbania o nie, by sprawić przyjemność innym. Aby nie doprowadzić do utraty energii i swojej indywidualności, musimy za wszelką cenę troszczyć się o swoje naturalne piękno, a nie o sztuczny wygląd, który

nie jest związany z naszą naturalną przynależnością. Zamiast deprecjonować ciało na rzecz ubioru i makijażu, powinniśmy kształtować je na dzieło sztuki. Nie chodzi o czerpanie z tego narcystycznej przyjemności, ale raczej o możliwość współdzielenia pożądania z inną/innym. Cieleśne piękno może wspierać pożądanie i nie dopuścić, by sprowadzało się ono do zwyczajnego, instynktownego zachowania. Troska o cieleśne piękno jest jedną z możliwości ustanowienia transcendentnego wymiaru pożądania skierowanego w stronę innej/innego, jako tej/tego, której/którego nie można zredukować do naszych potrzeb. Co więcej, to sposób na ustanowienie tego transcendentnego wymiaru i jednocześnie podtrzymywanie aspektów zmysłowych, które są częścią naszej globalnej tożsamości i dotyczą w szczególności pożądania.

Zbyt często wyobrażamy sobie, że poszanowanie innego zależy od przestrzegania moralistycznych i abstrakcyjnych reguł, które ignorują kwestie związane z ucieleśnionym spotkaniem dwóch pojedynczych istot. Taki sposób regulowania relacji za pomocą zasad obcych naszej prawdziwej tożsamości nie daje odpowiedzi na pytanie, jak spotkać się w różnicy czy jak ocalić naszą indywidualność i energię w procesie dzielenia się z innym(i) w wymiarze globalnym i życiowym. Przywykliśmy do zachowywania się w sposób raczej abstrakcyjny i skodyfikowany, który nie bierze pod uwagę ani naszej naturalnej przynależności, ani naszej wyjątkowości. Przywykliśmy do traktowania spotkania z innym jak z jakimkolwiek innym, czyli z neutralną indywidualnością, którą można zastąpić kimkolwiek i z którą nie wchodzimy w relacje oparte na wymianie, chyba że sprowadzimy ją do trzeciej osoby, którą cechują bezosobowe reguły i zwyczaje. Wówczas nasza energia nie wraca do stanu sprzed zróżnicowania nie dlatego, że dochodzi do fuzji ze światem natury, ale raczej dlatego, że zredukowana zostaje do konwencjonalnych form, które z założenia pasują do wszystkich ludzi. Można powiedzieć, że zamiast jednać się z uniwersalną naturą, jednamy się tylko z pozornie uniwersalną kulturą i z jej potencjalnie uniwersalnymi formami. W obu przypadkach tracimy możliwość spotkania z innym jako innym. W najlepszym przypadku tworzymy z nim lub z nią jakąś niezróżnicowaną grupę lub społeczność, na potrzeby której każde z nas wyrzeka się własnej indywidualności i, co za tym idzie, człowieczeństwa.

By odzyskać nasze człowieczeństwo, musimy zacząć ponownie od naszej niepowtarzalnej cieleśności i od pielęgnowania jej w poszanowaniu różnic(y). Coś, co w mniejszym lub większym stopniu wiąże

się z tragicznym przeznaczeniem, jest tragiczne właśnie dlatego, że jesteśmy dwójgim nieredukowalnych względem siebie istot. Jednakże ten tragiczny los, który oznacza zyskiwanie odpowiedniej indywidualności, tragiczny los, który wiąże się z samotnością, jest częścią naszego ludzkiego stawania się i współbywania.

Ten tragiczny los wytycza również ścieżkę prowadzącą do ochrony i pielęgnowania miłości erotycznej. Jeśli pożądanie jest tym, co skłania nas ku osobie lub ku rzeczom, które rozbudzają nasze pragnienia, to dzieje się tak dlatego, że pozostajemy dwójgim, że podtrzymujemy to pożądanie i przekształcamy je, mając na uwadze międzyludzkie współdzielenie. Bycie dwójgim nie będzie możliwe dopóty, dopóki nie pogodzimy się z tragicznym przeznaczeniem, jakim jest samotność. Jeśli chodzi o pożądanie, to nie mamy żadnej alternatywy poza tragedią, jaką jest średniej jakości komedia. Jednakże istotą tragedii nie jest los jakiegoś bohatera, lecz los każdego i każdej z nas, o ile mamy zamiar doświadczać miłości erotycznej i w niej współuczestniczyć. Niestety nasza kultura nie dostarczyła nam odpowiedniego wzorca, dzięki któremu moglibyśmy z powodzeniem realizować to przedsięwzięcie.

DOTYK NICZYM ŚWIATŁO UMOŻLIWIAJĄCE NAJINTYMNIJSZE WSPÓLDZIELENIE

Fakt, że nasza kultura faworyzuje wielość zamiast dwójki, uprzywilejowując „patrzanie na”, nie służy kształtowaniu szczęśliwej relacji w procesie dzielenia wzajemnego pożądania. Pielęgnowanie dotyku byłoby bardziej odpowiednim sposobem, ale wciąż brakuje nam takich zdolności. I filozofowie, którzy ostatnimi czasy mówili o dotyku – jak np. Merleau-Ponty, Sartre, a nawet Lévinas – w pewnym sensie podporządkowali dotyk spojrzeniu lub jakiemuś ideałowi. W żadnym razie nie nawiązują oni do pieczyoty, która jest przecież jednym ze sposobów na wyrażanie pożądania i uznawania granic cielesności innej/innego, przywracając jej/jemu w ten sposób jej/jego własną indywidualność. Pieczyota, wręcz przeciwnie, będzie dla tych myślicieli sposobem na unieważnienie tożsamości innej/innego, ułatwiającym jej/jego posiadanie i użycie służące do zaspokojenia własnych pragnień i własnych celów. Jak dotąd u żadnego z nich nie pojawiło się pytanie o współdzielenie pożądania z innym(i) w bardziej ludzki

i etyczny sposób. Nie udaje im się nawet osiągnąć tego stadium, ponieważ nie pielęgnują oni własnych pragnień.

Bóg Eros nie opowiada się za spojrzeniem, jak np. Apollo, ponieważ preferuje dotyk. Nie oznacza to tym samym, że popada on w źródłową ciemność czy w matczyny świat, jak dzieje się to w przypadku Dionizosa, ponieważ Eros podąża za dotykiem, czyli za światłem, które mu przewodzi.

Rzeczywiście, dotyk odgrywa kluczową rolę w percepcji zmysłowej i w nawiązywaniu relacji, lecz nasza kultura zdominowana została przez spojrzenie. Ponadto to spojrzenie jest tylko próbą pochwycenia obiektu spojrzenia, a nie jego kontemplacją. Władza spojrzenia zbyt często przekształcała nasze miłosne relacje w jakiś rodzaj władczono-wolniczej walki, której celem jest podporządkowanie sobie innej/innego przez patrzenie na nią / na niego — jak piszą o tym Merleau-Ponty, Sartre i Lévinas. Poza faktem, że ci trzej filozofowie właściwie wcale nie pokazują, jak słabo w naszej tradycji ceniony jest dotyk ani że jest to wyjątkowy sposób na ustanawianie relacji ze sobą i z innymi, dają oni również świadectwo braku świadomości związanej z niewidocznymi partiami nas samych, kiedy mówią o dotyku. Zatrzymują się na powierzchni skóry. A skoro dotyk pozostaje niedostrzegalny jako taki, to także niektóre części naszego ciała, zwłaszcza te związane z pożądaniem, również pozostają niewidoczne. Dotyczy to w szczególności kobiet, u których błona śluzowa jest jedną z najbardziej wrażliwych części ciała pobudzanych przez dotyk.

Z powodu braku kultuwowania dotyku wewnętrzne części kobiecego ciała zostają sprowadzone do ciemności matczynych źródeł. Uniemożliwia nam to doświadczanie i odkrywanie w naszych wzajemnych relacjach tych najbardziej intymnych aspektów. Ambiwalentne uczucia mężczyzny, związane z jego pragnieniem powrotu do ciała matki i do matczynego świata, stanowią przeszkodę w osiągnięciu dojrzałości w miłosnych relacjach, a zwłaszcza w relacjach intymnych; z kolei zlekceważenie przez kobietę erotycznego potencjału, jaki tkwi w wewnętrznych partiach jej ciała, sprawia, że nie jest ona w stanie ułatwić mężczyźnie współuczestniczenia w relacjach na najbardziej intymnym poziomie. Obecnie to współdzielenie jest tym, co niesie ze sobą ryzyko utraty siebie i ucieczki do siebie, do najbardziej osobistej części siebie.

Ta najbardziej intymna część naszych tożsamości już na zawsze pozostanie niewidoczna, ale to właśnie ona konstytuuje tę nieredukowalną część, której nieustannie poszukujemy. Poszukiwania te stały się

przyczyną nostalgicznej wędrówki przynajmniej od czasów Sokratesa, który porównał samopoznanie do procesów mentalnych wyrwanych z naszego wnętrza i uniemożliwiających jego potencjalne dzielenie. Od momentu, w którym Sokrates próbował przezwyciężyć Dionizosa, a Eurypides Ajschylosa i Sofoklesa, człowiek został podzielony na dwie odrębne części i odtąd skazany jest na ciągłe poszukiwanie jedności. Przywracając do życia miłość zmysłową, możemy ponownie podjąć wędrówkę w kierunku naszej indywidualizacji, która jednocześnie nas scala i pozwala na miłosną relację cielesną. Oznacza to, że powinniśmy przestać faworyzować wiedzę umysłową, gdyż szkodzi to wiedzy cielesnej. Musimy ustanowić nowy stosunek do wiedzy, która brałaby pod uwagę istotę dotyku w konstytuowaniu się naszej indywidualności i naszych relacji z innym(i).

Wielokrotnie podkreślałam w swoich pracach, że doświadczenie samopobudzenia (*self-affection*) przez dotyk dwóch warg może okazać się pomocne zwłaszcza kobietom, ale nie tylko, w odkryciu ich własnej, pełnej życia tożsamości. Ujmując rzecz bardziej ogólnie, jednocześnie dwóch części przez ich wzajemny dotyk – np. dotyk dłoni lub powiek – może okazać się pomocne w odzyskaniu nas samych i umożliwić nam współbywanie z innymi bez ryzyka utraty tożsamości przez którąś ze stron. Gest ten wytycza ścieżkę w kierunku wiedzy, która nie wyklucza miłości erotycznej ze sfery życia, a jej kultywowanie czyni erotyczne współdzielenie wydarzeniem. Wiedza ta oparta jest na umiejętności samopobudzenia i dotyczy zarówno zewnętrznych widzialnych partii ciała – skóry, jak i wewnętrznych i niewidzialnych części – błony śluzowej, łącząc je ze sobą i wyznaczając przejście między jedną a drugą. Umożliwia nam doświadczanie tego, co niewidzialne, a co różni się od ciemności naszego pierwszego pobytu w łonie matki i naszych z nią relacji. I wreszcie uzmysławia nam, że ta niewidoczna część musi i powinna brać udział w naszym dorosłym życiu i w naszych relacjach.

Niewidzialne jest nieuchwytnie i niepojęte. I prawdopodobnie jest to powód, dla którego zostało ono wykluczone z kultury, która upodobała sobie dociekliwy racjonalizm i naturalizm, a z tego, co dotykowe, zachowała wyłącznie ucisk i zawłaszczenie. W żaden sposób nie koresponduje ona z dotykiem, który konstytuuje najbardziej intymny rdzeń nas samych i który związany jest z bogiem Erosem i z naszym miłosnym życiem.

UTRATA DOTYKU
Z POWODU TEORETYCZNYCH ZAMIŁOWAŃ

Jeśli coś związanego z Erosem — ale też z Dionizosem i Apollem — zajmuje Sokratesa w jego teoretycznej pasji i w miłości do młodych mężczyzn, to jedność, do której osiągnięcia prowadzi nas Eros i która jest od tej pory wyparta przez interwencję i osąd, jakie docieklivi rozsądek wnosi do miłości. Od tego momentu jesteśmy rozdwojeni w sobie i między sobą przez rozum, który zdominował naszą tradycję, i za sprawą przekonania, że tylko ten, kto posiadał wiedzę, jest cnotliwy; że tylko to, co powodowane wolą rozumu, jest dobre. Obawiam się, że pewna wiedza teoretyczna i intelektualna może uniemożliwić nam bycie cnotliwymi w relacjach z innym(i), ponieważ opiera się na podporządkowaniu innego i nas samych kryteriom, których głównym założeniem jest dominacja, a nie współdzielenie wynikające z naszych różnic, a zwłaszcza z różnic jakościowo naturalnych. By móc dzielić (siebie) z innymi, powinniśmy zaprzestać podporządkowywania miłości i pożądania osądowi tradycyjnego rozumu i wprowadzić innego rodzaju miarę, dzięki której możliwe byłoby wchodzenie w relacje. Miara ta winna być regulowana szacunkiem dla inności innej/innego, a to z kolei wymaga od nas pozostawania w granicach naszych ciał, naszych podmiotowości i naszego świata bez konieczności naruszenia ciała, podmiotowości i naszego świata innej/innego. Jest to kwestia związana z działaniem w sposób etyczny, a nie moralistyczny; polega na respektowaniu miejsca, w którym żyje inna/inny, gdzie egzystuje i istnieje, a nie na zachowywaniu się względem innej/innego zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami, które uznajemy za odpowiednie dla wszystkich, lecz które nie dbają o jednostkową indywidualność. Na przykład niezabicie kogoś czy niezabranie komuś pieniędzy nie jest jeszcze sposobem na dzielenie z nią/nim pożądania.

Nasze kodeksy moralne zbyt często wymierzone były przeciwko pożądaniu i nie pozwalały nam żyć i dzielić miłości. I to one mają wpływ na konstytuowanie naszej indywidualności i na jej ochronę. Doprawdy zaskakujący jest fakt, że ci filozofowie, którzy wyrażali swoje poglądy na temat uprawiania miłości jako tego, co sprzyja utracie indywidualności, wciąż cieszą się w naszej tradycji szacunkiem i mianem person stojących na straży etyki. W przeciwieństwie do nich uważam, że miłość erotyczna musi przynieść każdej ze stron dodatkową indywidualizację. Wymaga to od nas podtrzymywania stanu pożądania w celu przyjmowania innej lub innego, co wiąże się z prag-

nieniem przekroczenia siebie, lecz nie wymaga redukcji tego pożądanego wyłącznie do potrzeb. Możliwe, że energia rozbudzona przez to pożądanie jest miejscem, w którym zyskujemy naszą ludzką naturę i tożsamość, a dotyczy to zarówno nawiązywania relacji z inną/innym, jak i przekraczania własnych granic w tej relacji poprzez szacunek dla odmienności innej/innego.

Szacunek żywiony względem innej/innego nie może wynikać z Sokratejskiej namiętności teoretycznej, która, by tak rzec, była rodzajem dionizyjskiej pasji kierującej Sokratesem w jego dążeniu do osiągnięcia wiedzy. Namiętność ta tożsama jest z wykorzystywaniem energii dionizyjskiej dla własnych korzyści lub, w najlepszym przypadku, dla współżywania z tą samą wersją siebie. Oczywiście nie chodzi wyłącznie o korzyść, jaką daje bezpośredni i niepielęgnowany impuls, jak zazwyczaj ma to miejsce w przypadku Dionizosa. Wówczas instynkt ten zostaje przystosowany do życia, bez konieczności bezpośredniego obcowania, i do wspierania matczyńskich substytutów. Sokrates otacza się mężczyznami i nawet Diotima nie zostaje dopuszczona do tego kręgu wówczas, kiedy pod jej nieobecność filozof przytacza jej słowa, bardziej akcentując rolę płodzenia w miłości aniżeli rolę suplementów energii i indywidualizacji, które mogą zaowocować współdzieleniem pożądanego w różnicy.

Pożądanie zostaje powołane przez Sokratesa do poszukiwania mentalnego Absolutu, który odcina drogę powrotu do świata matczynego. Jedynie piękno i inteligencja młodych mężczyzn są w stanie podtrzymać jego energię, z energią seksualną włącznie, kierując ją w stronę intelektualnego ideału, ponieważ nie może on ryzykować ponownym upadkiem do fizycznej bliskości z naturalno-matczynym źródłem. Próby uniknięcia takiej regresji przez przekroczenie własnych granic dzięki współdzieleniu pożądanego z innym, który jest różny, wydają się Sokratesowi nieznane. I prawdopodobnie są one nieznane większości mężczyzn, a dziś także większości z nas.

Jednakże tego rodzaju współdzielenie mogłoby być sposobem na wskrzeszenie energii, która odpowiada naszej naturalnej przynależności i pozostaje w harmonii ze światem natury, w którym żyjemy. Energii, która w naszych relacjach, musi być przekształcana na rzecz poszanowania transcendencji innego. Wymaga to od nas wkroczenia w nową epokę kulturową, w której ideał umysłu lub absolut nie ustanowi prawa uniemożliwiającego nam dzielenie się z innym w wymiarze globalnym. Wypracowywanie ścieżki wiodącej do tego rodzaju dzielenia zobowiązuje nas do kształtowania nowego sposobu pielęgnowania

naszej energii, pielęgnowania, które nie uprzywilejowuje ani spekulatywnego ideału, ani też dyskursu szkodliwego dla poetyckiej, a nawet mistycznej drogi, lecz które bardziej odpowiada rozwojowi naszej globalnej indywidualizacji i naszemu ucieleśnieniu, jak również naszemu dzieleniu w różnicy. Oczywiście obranie takiej ścieżki wymaga od nas przyjęcia logiki innej niż logika Sokratesa – czyli innego sposobu pielęgnowania dotyku i jego dzielenia.

Z angielskiego przełożyła
KATARZYNA SZOPA